№ 8.

Bióro Redakcji przy ulicy Solnej Nr. 715, w Warszawie.

Prenumeratorowie stali **Opiekuna Domowego**, — nadsyłający prenumeratę wprost do Redakcji, otrzymują w dodatku **Czytelnię Domową**, zawierającą w sobie wybór powieści, romansów, dramatów i tym podobnych dzieł treści belletrystycznej.

OPIEKUN DOMOWY

Warszawa, dnia 10 (22) Lutego 1871 roku.

ROK VII.

Serja Druga.

Cena: w Warszawie 25 kop. miesięcznie — na Prowincji: rs. 1 kop. 20 kwartalnie (w tém mieści się już opłata pocztowa: za przesyłkę kop. 11¼, oraz za opakowanie i ekspedycję kop 33¾). **Skład główny** dla pp. Księgarzy *w Warszawie*, w księgarni Ferdynanda Hösicka, Ulica Senatorska Nr. 496, w *Poznaniu* u **Leitgebera**, — *we Lwowie* u **Wilda Karola**, *w Żytomierzu u* **Budkiewicza** księgarza.

O POWOŁANIU ZIEMIAŃSKIÉM.

Ludzkość cała w zbiorowisku swojém przeróżnych prac i zajęć, — to wielki boży sad, wszelkiego rodzaju *powołań* do licznych zawodów.

Powszechnie utrzymujemy, że zawód czyli rodzaj zajęcia, każdy człowiek obiera sobie sam. Tak jest, ale tylko pod pewną miarą i granicą tak działby się to powinno. Albowiem, pominąwszy nawet ów wzgląd zawodowego uzdolnienia, który może być nabytym stosowną nauką—jest jeszcze u każdego z nas rozmaity—a nieraz bardzo różniący się nastrój ducha, pewne upodobanie do tego lub innego rodzaju zajęć, owe usposobienia i skłonności jakie każdy z nas ma w sobie, — które płynąc z wewnętrznéj treści ducha naszego i z jego popędów,— są już nam *dane od Boga*, i stanowią to, co nazywamy — *powołaniem* właściwém każdego człowieka. W tych zatém danych odbywać się dopiero powinien — za pośrednictwem woli naszéj — wybór zawodu czyli zajęcia w życiu, — jeżeli idąc za tym głosem wewnętrznym, przeciw temu powołaniu i w brew właściwości naszego ducha, na przekór jego popędom i skłonnościom nie zamierzamy działać.

Jeżeli tedy wybór właściwego zawodu uwarunkowany jest wewnętrzną treścią naszego ducha, oczywistém jest, że w takim tylko razie rdzeń istoty naszéj będzie w zgodności z obranym sobie zawodem, gdy on zgodnym będzie z naszemi skłonnościami i popędami. Z tego wypływa, iż tylko w takim razie każda jednostka i dla siebie i dla społeczeństwa może w danym zawodzie ze stanowiska swojego wywiązać się należycie. Albowiem wówczas tylko wszystkie czynniki jéj ducha mogą i być w pełni użyte, i dopomagając téj jednostki pracom i usiłowaniom, same przytem dostępywać mogą wyższego rozwoju i korzystniejszéj działalności sił swoich.



Franciszek Salezy Dmochowski. (Str. 62.)

Są jednak okoliczności, warunki, niemożliwości i różne przygodne wpływy i zdarzenia, — są wreszcie nawyknienia plemienne i rodowe, które siłą prądów otoczenia warunkowującego nasz byt, pędzą nas do chwycenia się danego zawodu sprzecznie z naszemi skłonnościami i całém stroiwem ducha naszego. Cóż się wówczas dzieje z ową jednostką? co z jego zawodem? co z spółecznością — jeżeli takich jednostek o chybioném powołaniu ma wiele w swym składzie? — Zaiste! odpowiedź na to nietrudna. Jednostki wyparte z właściwéj kolei dla dróg ich ducha, nie mają zadowolenia wewnętrznego;—ich zawód bez zamiłowania, bez przyłożenia do niego treści ducha własnego spełniany, staje się dla nich samych i dla ich zawodu — prawdziwie *zawodnym*, — a nie przynosząc im samym ani materjalnego dobra, tém samem i dla społeczności staje się klęską pod tymi obudwoma względami. Klęska ta tém jest wyraźniejszą, tém w skutkach swych groźniejszą, im więcéj ona ma takich jednostek o chybioném powołaniu. Każdéj bowiem społeczności zdrowie i dobrobyt płyną ze zdrowia i dobrobytu jednostek. Jaki miód i ile go te jednostki do swych ulów zniosą, na polu swoich powołań i zajęć, taki tylko i w takiej ilości — sciekając z ich zasobów—dostać się może do ciała organicznego całéj społeczności, i krążąc po wszystkich żyłach tego ustroju, stanowić może o stanie jego zdrowia i stopniu rozwoju. Społeczność któraby dziwnym zbiegiem okoliczności, miała w składzie swoim wiele jednostek o kalectwie fizyczném, zobrazowałaby pewnie w swém żywocie zbiorowém ten stan kalectwa; tak jak znowu złożona z wielu indywiduów pracujących bez powołania, okaże brak zdrowia materyalnego i moralnego.

Każdy zawód, czyli rodzaj zajęcia, będąc dla téj jednostki, która mu się oddaje, wypływem pewnego rodzaju powołania, już z natury takowego i z rodzaju zajęć, ma pewne *obowiązki* do spełnienia przywiązane do każdego zawodu; a wpływy wielorakie którymi z ogniska swojego promieniuje na społeczność tym są donioślejsze i bardziéj liczne, im prace tego zawodu są ważniejsze, im większa liczba jednostek im się oddaje, — a także, im rodzaj tych prac obejmuje szerszy krąg stosunków bezposrednich z jednostkami, oraz, im większą ich liczbę do pomocy i udziału prac tych garnie.

Powyższe prawdy naszego poglądu, z dziedziny ogólnej, przenieśmy na pole zastosowania onych do zawodu ziemiańskiego.

Zawód gospodarza rolnika, jest jednym z najdawniejszych w społecznościach ludzkich, a zarazem najważniejszym przez swą niezbędność w każdéj społeczności, gdyż ma za cel dostarczenie pożywienia dla wszystkich. Jest przytem najliczniejszym, bo praca około roli wymaga wielu rąk. To jego ważność materyalna.

Ale zawód gospodarza-rolnika, ma także swoję stronę moralną — bardzo ważną w każdém społeczeństwie, ważniejszą od innych zawodów. Wiem że na te słowa zawoła wielu z oburzeniem: „Wszystkie zajęcia są równie szlachetne, byle były godziwie prowadzone; a co do wpływów, te są małoważne, bo duch owywa materję a nie materja włada duchem; jakikolwiek będzie materjał na którym człowiek będzie pracował, takowy jego ducha nie pochłonie, ani przekształcić go nie jest w stanie!"—Ależ upewniam, że wszystko to uznaję, że wszystko to jest także w mych oczach prawdą; nie mam zamiaru ludzkości pochodu zawracać wstecz, bo to najoczywiściéj by-

łoby daremném usiłowaniem; — nie miłuję się też w średniowiecznych przesądach i uprzedzeniach co do stanów i zawodów—owszem, dziękuję Bogu że mnie później na ten świat do życia powołał, kiedy już ten obłęd z óczu duchowych opadł;—nie mam również zamiaru w czemkolwiek uwłaczać potędze ducha ludzkiego, przypisywać materyi nad nim władzy takiéj, jakiéj ona posiadać nie może. Dalecy jesteśmy zupełnie od tych wszystkich mniemań. Jednakże mimo prawd tu przytoczonych i po za obrębem ich treści, — mimo nawet zdania ekonomistów — „że wszystkie zawody w ekonomicznem znaczeniu są równie ważne" — jest jeszcze wolne pole do pomieszczenia naszych uwag i uznania ich również za rzetelne, bez uwłaczania tamtym.

Zastanówmy się najprzód nad ważnością i zbawiennością wpływu jaki wywiera na ducha człowieka, na jego umysł i naturę jego, sam rodzaj zajęcia rolno-gospodarskiego. Zajęcie to i natura zadania pracy rolnika, są zupełnie różne od zajęć i zadania pracy wszelkich innych zawodów. Kiedy inne zawody zajmujące się przerobieniem materji, zacieniając jéj formę lub stosunek jéj części składowych, postępują w tém wedle stale określonych przepisów technicznych i nigdy zawodu nie doznają, rolnik, nie może mieć żadną miarą téj pewności, tego zaufania, wyradzającego się tak łatwo w pychę rozumu ludzkiego, która znowu zbyt często wiedzie człowieka do zapoznania opiekującéj się nami Istoty Najwyższéj, za któréj jedynie sprawą i pomocą wszystko działamy. Rolnika stanowisko jakie on we własnéj pracy swojéj naznacza i udział jaki w niéj Bogu przyznaje, najlepiéj maluje ten dwuwiersz pieśni:

„Boże z Twoich rąk żyjemy,
Choć naszemi pracujemy."

Rolnik nie jest również *producentem*, bo nie produkuje materji, jak to mylnie twierdzili *fizijokraci*;—producentem materji — żaden człowiek w żadnym zawodzie nie jest i być nie może. Nie przerabia też rolnik *„za pomocą nasienia materjałów martwych na żywe"* jak to dzisiejsi ekonomiści orzekają; gdyż ziarno, które on rzuca w ziemię, ma w sobie zarodek życia,—nie jest więc martwém. Rolnik nic tu nie przerabia sam i nic przerobić nie może, ale czyste ziarnko rzuca w ziemię, — a nie tylko przerobienie, ale nawet rozmnożenie jego dokonywa się cudem Boga wedle praw które On nadał przyrodzie. Że rolnik, przez doświadczenie nabyte w swym zawodzie i przez odkrycia niektórych praw fizycznych—może, stosując się do tych danych—wywierać pewien wpływ na ilość i jakość plonów, to jeszcze nie czyni go cudotwórcą; on sam z siebie nicby nie dokazał, jego niwa i jednego ziarnka nie urodziłaby bez mocy i woli Najwyższego, i nikt też lepszego o tém nie nabywa przeświadczenia jak rolnik w pracach swojego zawodu. Rolnik bowiem powierzając ziemi ziarno swoje, czyni to z ufnością w Boga, z wiarą że On mu to ziarno rozrodzone w zwiększonym plonie powróci, a wiara jego musi być stałą i czekanie długiém, bo blisko rok cały, zanim to ziarno zkiełkowawszy źdźbłem dobędzie się z ziemi, następnie uśpione śmiercią zimy i nanowo zmartwychwstałe z wiosną przejdzie wszystkie przemiany i wszystkie przygodne chwile, w czasie swojego wzrostu, dopóki się dojrzałym owocem nie znajdzie pod jego strzechą. Rok prawie cały!—uważcie: ile to chwil oczekiwania i niepewności! Ile przez ten przeciąg czasu wyrwie się z jego piersi gorących westchnienień do Boga! Ile modłów natchnionych szczerą ufnością wiary!—Wszystko to w tym zawodzie trzyma ducha ludzkiego w większéj uwadze i baczeniu na własne sprawy, bo przy pracy około przyszłego plonu zwraca myśl jego do Boga—w obecności niejako ciągłéj z Bogiem go trzyma. Same zresztą jego prace gospodarcze, odbywając się głównie pod sklepieniem nieba, na otwartém powietrzu—i w obec otaczającéj go przyrody — odbywają się jakby w obecności Boga; — a częsta samotność, sprzyjająca skupieniu jego myśli w duchu, jego rozwadze i wyrobieniu zdrowego sądu o rzeczach, — nie pozostaje także bez zbawiennego wpływu na umysł rolnika. (d. n.)

GERTRUDA KOMOROWSKA.

(Dokończenie).

Rozmowa Szczęsnego z teściem, trwała z pół godziny. Rozstali się dosyć przyjacielsko i grzecznie. Wojewodzic „na charakter" zaręczył, że nic nie wie o żonie, i toż samo oświadczył przyjaciołom Komorowskiego, którzy go o to pytali powtórnie. Tym przyjaciołom oświadczył nadto, „że mieszkać z Gertrudą razem nigdy nie chce i nie będzie, a rozwód swój daléj popierać postanawia."

Gdyby już nie szlachetność sama, to prosta zręczność, umiejętne zastosowanie się do roli przyjętéj w komedji, własny interes i chęć oczyszczenia się przed światem, powinny były starościc bełzkiemu inną podyktować odpowiedź. Wszakże rodzina jego udawała że nie miała najmniejszego udziału w napaści na dom Komorowskich, że nic nie wie co się stało z Gertrudą. Gdyby Szczęsny objawił chęć dochowania zaprzysiężonéj wiary, dałby dowód iż to twierdzenie Potockich, że o niczém nie wiedzieli, jest prawdą. Ale w takim razie sami Potoccy musieliby przyłożyć rękę do wyświecenia rzeczywistego zajścia i wyśledzenia jego sprawców. Obawiając się tego musiał dać odpowiedź odmówną, a ta odmowa jest najwymowniejszém świadectwem winy jego ojca, choćby ją osłonić się starano jak nausilniéj tém, że słaby charakter Szczęsnego, jak wprzód rodzicom, tak teraz rodzinie był powolnym i opierać się nie potrafił.

Szczęsny jednak oddawna już w sercu ukochaną żonę pogrzebał, i to co Komorowskim odpowiadał, zapewne odpowiadał szczerze... Wszakże już w tych czasach we Lwowie zawiązał miłosną intrygę, a z drugiéj strony miał zamiary wstąpienia w powtórne związki. Boginię swoję, panią przelotnych afektów, tak obsypywał klejnotami, że na redutach falbany sukni miała brylantami obszywane.

Nie zapominajmy, że był podówczas w potrójnéj żałobie: po ojcu, matce i żonie!... nie zapominajmy, że jednocześnie nosił na piersiach minjaturę Gertrudy, którą niby kochał tak świętą i tak niewygasłą miłością; nie zapominajmy wreszcie, że każdy jego krok, każdy postępek był jawny, obserwowany, komunikowany, głoszony, że na młodego dziedzica świetnego imienia, oczy całego kraju były zwrócone; nie zapominajmy o tém wszystkiem, a lepiéj poznamy człowieka.

Galicja podówczas przyłączoną została do Austrji. Cesarz Józef II, miał odbyć podróż do nowonabytego kraju, Komorowscy chcieli się udać ze skargą do niego. To skłoniło Szczęsnego do zjechania na miejsce i wejścia w układy. Ofiarował im za zgodę, dobra miljonowéj wartości, ale Komorowscy żądali nadto, aby ich oczyścił publicznie z zarzutu, że go podstępem uwiedli. Szczęsny na to nie przystał. Czas podróży upłynął i cesarz Józef powrócił do Wiednia.

Było to w Lipcu 1773 roku. W miesiąc potem Komorowscy wydali manifest, w którym po raz pierwszy publicznie i otwarcie zarzucają wojewodzie gwałt i najazd, nie przyznając się wszakże do wiadomości o losie Gertrudy.

Na manifest ten, Szczęsny odpowiedział remanifestem, pochodzącym „z dobrego warsztatu" jak się jeden list współczesny wyraża, drukowanym w języku polskim i francuzkim. Zarzuca w nim Komorowskim niedbałość o los córki, chciwość, czyhanie na majątek, i potwarz; oskarża ich, że go prawie mimo woli do ożenienia się zmusili, że się z nim targowali i chcieli go poprostu obedrzeć.

Tak obok wlokącego się procesu o rozwód, rozpoczął się gorszący proces o najazd i gwałt.

Starania Komorowskiego sprawiły tyle, że we Wrześniu proces ten przeniesiono do delegacji sejmowéj i wyznaczono do niego osobną komisyą. Szczęsny, który tego dopuścić nie chciał, zaprotestował przeciw komisji, pragnąc sprawę przenieść do Lwowa, gdzie się więcéj zrobić spodziewał za pomocą pieniędzy i stosunków. Wybryk ten na nic się nie przydał; chciano bowiem uczynić z niego nową sprawę, zarzucając Potockiemu *crimen status*, jako uciekającemu się pod protekcję obcego państwa obywatelów i urzędników, czego prawa ówczesne nie dozwalały.

Szczęsny był w niemałych obrotach. Pieniądze i stosunki nie wystarczały już, potrzeba sobie było nowa koligacją otwierać nowe protekcje. Postanowił zatem starać się o rękę córki kasztelana krakowskiego Mniszcha.

Przy powocy najrozmaitszych starań i zabiegów, które Potockiego około miljona kosztowały, udało się wreszcie nakłonić Komorowskich do zgody. Ofiarowano im 700,000 złp. z których 100,000 już d. 20 Kwietnia 1794 wzięli, a reszta miała im być wypłaconą na święty Jan.

Pomimo téj zgody jednak, proces toczył się daléj. Odstępne wzięto zapewne za to tylko, że się zobowiązano nie nastawać na pewne drażliwsze dla Potockich okoliczności.

Dnia 10 Listopada 1774 r. zapadł nareszcie wyrok tak długo się odwlekający, w sprawie o najście i rabunek. Dąbrowskiego, Wilczka i dwóch żydów skazano na śmierć, który to wyrok naturalnie zapadł zaocznie, albowiem wojewoda dobrze ich ukrył. Czyn cały przedstawiony został w dekrecie jako ich samowolny postępek, którego się, porzuciwszy służbę u wojewody, dopuścili. Za niebaczne zaś przyjmowanie do służby swojéj takich ludzi, ska-

zano Szczęsnego na zapłacenie, imieniem ojca, Komorowskim 4,000 grzywien.

W tymże miesiącu nastąpił drugi dekret, duchowny, rozwiązujący pierwsze małżeństwo i dozwalający się żenić Szczęsnemu, który też w tym samym miesiącu wstąpił w związki małżeńskie z Mniszchówną.

Komorowscy za resztę umówionéj summy otrzymali znaczne dobra.

Tak się skończył gorszący proces... Historja Gertrudy Komorowskiéj umarła w rzeczywistości, ażeby odżyć i unieśmiertelnić się w pieśni.

W téj nowéj szacie odrodzenia jest może mniéj ciekawą, ale o ileż piękniéjszą!...

Wołody Skiba.

ZIMA.

Ziemia smutna,—i smutne Niebiosa,
W szalonych pląsach grzmi zamieć śniegowa,
Pusto—i ptastwo pod strzechy się chowa:
Czemuż niewiasta sama tam i bosa,
Daléj i daléj na pole ucieka?
Brat za nią goni i woła z daleka:
„Siostro! o siostro—posłuchaj co mówię!...
„Weź nieszczęśliwa przynajmniéj obuwie.—“
„Bracie—o bracie, nie wstrzymuj daremnie!
„Żyjcie wy sobie—i żyjcie bezemnie.
„Zima niestraszna, co me nogi zięba—
„Och ta straszniejsza, co tu w serca głębi:
„Matka mnie za mąż dała poniewoli,
„Puśćcież mnie z wichrem—aż w duszy przeboli.“

J. Bogdan Zaleski.

MIKOŁAJ KOPERNIK.

(*Dokończenie*).

Pragnął Kopernik, jako profesor szkoły głównéj, pozostać w Krakowie, lecz wuj jego Łukasz Waisselrod powołał go w roku 1510 do Frauenburga, na przeznaczoną dla niego kanoniję. Po śmierci biskupa Luzyanis r. 1523, obrała kapituła Kopernika administratorem dyecezji warmijskiéj. Zygmunt I, przez wzgląd na przychylność jakiéj od biskupa Waisselroda w sprawie przeciwko Krzyżakom doświadczał, zatwierdził wybór jego siostrzeńca. Nie z mniejszém męztwem i poświęceniem od swego wuja, odpierał Kopernik i niweczył zamachy niemieckiego rycerstwa, wymierzane przeciwko niemu i powierzonéj jego pieczy dyecezyi, a we właściwym czasie złożył jéj rządy w ręce Ferbera.

Po śmierci Ferbera, Zygmunt I podał kapitule trzech kandydatów, do osadzenia jednym z nich osieroconéj katedry biskupiéj, mianowicie: Dantyszka, Gizego i Kopernika. Dantyszek, podówczas biskup Chełmiński, najbardzéj zalecany przez króla, otrzymał biskupstwo Warmijskie, jego zaś miejsce zajął Gize. Każdy z tych dwóch biskupów, jak dawniéj tak i teraz wysoce kochał i poważał Kopernika i we wszelkiéj ważniejszéj sprawie jego światłéj zasięgał rady. Szczególniéj wszakże miłował go Gize. Jeszcze będąc kanonikiem Warmijskim, zawiązał z nim ścisłą przyjaźń, któréj nie naruszył zostawszy biskupem, a wiedząc o dziele *de revolutionibus*... zachęcał autora do jego wydania.

Oprócz Gizego, znalazł jeszcze Kopernik dwóch przyjaciół hołdujących nowéj jego dokrynie, mianowicie: Jerzego Joachima Retyka, profesora matematyki przy uniwersytecie Wittenbergskim i Mikołaja Schomberga, mianowanego w r. 1535 kardynałem przez Papieża Pawła III.

Mikołaj Schomberg w roku 1536, napisał do Kopernika list, zachęcający go do ogłoszenia pracy swojéj drukiem; list ten ośmielił go do poświęcenia dzieła swego Papieżowi.

Retyk opuściwszy katedrę w Wittenbergu, pospieszył do Frauenburga złożyć cześć zasługom i pracom Kopernika, którego odtąd w pismach swoich nazywa: „Dominus ac Praeceptor meus.” Wnet z Frauenburga do Lubawy zaprosił nauczyciela i ucznia, Gize biskup chełmiński, gdzie w ciągu kilkotygodniowego pobytu zawiązała się ścisła przyjaźń pomiędzy nim a Retykiem. Retyk w roku 1542, wydawszy trygonometrję Kopernika, zamierzał następnie zająć się drukiem dzieła: *De revolutionibus*..., zmuszony był jednak odstąpić od swego zamiaru; przekonał się bowiem, że dzieło to wywołać może głębokie oburzenie, równie ze strony teologów, jak i matematyków. Pierwsi opierając się na powadze Pisma S-go, gotowi byli potępić nową naukę o obrocie ziemi około słońca, na zasadzie słów Jozuego: „Sta sol ne moveare,” drudzy stawali w obronie wiekami uświęconego systemu Ptolomeusza. Pomimo to wszystko po wyjeździe Retyka z Frauenburga do Saksonji, skłonił Kopernika Gize do wydania sobie rękopisu, z przemową do Papieża Pawła III i zgodnie z umową poprzednio zawartą, przesłał je Retykowi do Saksonji, który przy pomocy uczonych swoich przyjaciół, Jana Schonera i Andrzeja Ozyandra, z pod prasy Norymbergskiéj światu je ukazał. W roku 1543 wyszło dzieło: *De revolutionibus orbium coelestium*, a pierwszy jego egzemplarz zastał swego twórcę żegnającego doczesne swoje siedlisko. Dnia 24 Maja tegoż roku, rozstał się Mikołaj Kopernik z tym światem.

Pomimo dobrego przyjęcia przez Papieża Pawła III, dedykowanego mu dzieła, wkrótce przeciwko niemu ozwały się głosy przeciwne, domagające się stanowczo zniesienia nowych pojęć o układzie świata. Jak silném było prześladowanie nowéj nauki, łatwo możemy nabrać jasnego pojęcia ze wspomnień historycznych, dotyczących owej epoki, jakoteż z księgi pod tytułem: *Questiones celeberrimae in Genesin*, Parisiis, a. 1623, gdzie dowiadujemy się, iż dnia 5 Marca 1616 roku, zapadł wyrok kardynałów, potępiający dzieło Kopernika. W roku 1634 pełen zasług naukowych Galileusz, jęczał w więzieniu za to, że ośmielił się bronić tego co stanowczo było potępioném. Wystąpili również przeciwko niemu uczeni i matematycy, a pomiędzy nimi stawny Tycho-Brache, przedstawił nowy układ zgodny z dosłownem pojmowaniem wyrazów Pisma S-go.—Pomimo to w miarę postępu matematyki, coraz więcéj gromadziło się zarzutów przeciwko słynnemu niegdyś układowi Ptolomeusza, który też wkrótce runął, a jego miejsce zajął niczem nie dający się zachwiać układ Kopernika!

Nie możemy w tém miejscu pomijać milczeniem opisu zajmującego nas systemu i fenemenu, nasuwającego od najdawniejszych czasów w myśli astronomów różnorodne hypotezy i rozumowania dążące do jego wytłumaczenia; z tych niektóre bardzo blizkie rzeczywistości, przez zdania przeciwne zagłuszane, niknęły w zapomnieniu, dopóki na poparcie prawdy nie wywołał ich twórca nowego układu świata słonecznego.

Szczupły zakres obecnego artykułu nie dozwala nam gromadzić wiadomości naukowych, jakich przedmiot tak ważny dla dokładnego swego wyjaśnienia wymaga; musimy poprzestać na skreśleniu bardzo grubymi rysami szkicu dającego ogółowe tylko o nim pojęcie.

Mieszkańcy Warszawy i wszystkich miast większych, zajęci pracą w pośród murów, bądź to przy biórku, bądź przy stole handlowym, bądź przy warsztacie, zbyt mało mają sposobności cieszenia się wspaniałym gwiaździstego Nieba widokiem. Każdy z nich opuściwszy całodzienną pracę, w czasie najpiękniejszego wieczora dążąc czy to do domu, czy do przyjacielskiego zebrania, czy to do teatru, wzniosłszy głowę do góry, widzi nad sobą pas Nieba zamknięty wysokiemi ulic ścianami, a i tym widokiem krótką tylko chwilę cieszyć się może, wielce zadowolony, jeżeli z mglistego lub czystego gwiazd światła zdoła wywnioskować przepowiednię pogody na dzień następny. Turkot powozów, ścisk i gwar przechodniów, zmusza go ciągle zwracać baczny wzrok około siebie. Wieś, usuwając swoich mieszkańców od głównych punktów rozwoju życia sztucznego, zbliża ich do natury i pozwala z całą swobodą rozglądać się w najpiękniejszéj widowni, jaką przedstawia niebios sklepienie.

Każdy zamieszkujący ciche wiejskie ustronie, lub ktokolwiek chociaż na czas krótki gwarne opuścił miasto, wie dobrze, że słońce w ciągu codziennéj pozornéj wędrówki, nakreśla biegiem swoim na niebie część koła, któréj połowę dosięga w południe; że w tymże samym kierunku od wschodu ku zachodowi odbywają codziennie bieg swój pozorny wszystkie gwiazdy, postępując po kołach różnéj wielkości; że położenie gwiazd względem siebie żadnéj nie ulega zmianie,—to wszystko widzi najmniéj wprawne oko, bez pomocy narzędzi.—

Baczne zapatrywanie się na firmament niebieski, wyróżniło od

najdawniejszych czasów, wśród niezliczonéj liczby gwiazd, pięć, zwanych planetami, które oprócz codziennego kołowego, przedstawiają odmienny jeszcze rodzaj biegu, zmieniający położenie ich względem innych. Bieg ten uważany od czasów Hipparka, przedstawia się w nader zajmujący sposob: albowiem skutkiem jego planety zdają się poruszać od zachodu ku wschodowi, następnie prędkość jego powoli maleje i planeta przez pewien przeciąg czasu zatrzymuje się w miejscu, następnie odbywa bieg swój w stronę przeciwną t. j. od wschodu ku zachodowi; daléj następuje spoczynek i powrót do biegu od zachodu ku wschodowi i tak następnie. Część drogi jaką planeta przebiega od zachodu ku wschodowi, jest zawsze dłuższą od téj, jaką odbywa w stronę przeciwną; tym sposobem przebiega całą swą drogę. Zjawisko to, w przypuszczeniu iż planety odbywają swój ruch około ziemi, prowadziło dawnych astronomów do przedstawiania ich dróg w linijach krzywych, tak powyginanych, że kształt ich raził niezgodnością z prawami mechaniki. Powstały ztąd różnorodne systematy, o których tu chociaż słów parę powiedzieć musimy, mianowicie:

Układ Ptolomeusza, który przetrwał aż do czasu Kopernika, przedstawia nam Ziemię umieszczoną w środku, w koło któréj krążą: księżyc, słońce i planety w następującym porządku: najbliższą drogę przebiega Księżyc, po nim następuje Słońce, Mars, Jowisz i Saturn.

Układ Egipcjan, około Ziemi umieszczonéj w środku, przedstawia najprzód drogę Księżyca, następnie drogę Słońca, koło którego krążą Merkury i Wenus. Daléj następują podobnie jak w układzie Ptolomeusza drogi: Marsa, Jowisza i Saturna. Układ ten już jest bliższym prawdy od opisanego poprzednio; w nim bowiem Merkury i Wenus krążą około słońca, tak jak jest w istocie. Zasługuje on z tego względu na szczególną naszą uwagę, iż podał myśl Kopernikowi do nakreślenia prawdziwego układu świata słonecznego.

W systemie Kopernika, na środku stoi słońce, a w około niego krążą planety w następującym porządku: Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz i Saturn. Ziemia otoczoną jest orbitą Księżyca, którą prowadzi ze sobą, Jowisz czterema, Saturn pięcioma orbitami swoich satelitów (obecnie liczą ich siedm). Układ ten z największą jasnością tłumaczy pozorny ruch dzienny Słońca i gwiazd, zmiany dnia i nocy, pory roku, lunacje i zaśmienia, znosi nierówności dróg planetarnych i prowadzi do poznania istotnego ich kształtu.

Już wyżéj wspomnieliśmy, że poparcia myśli swoich szukał Kopernik w księgach starożytnych mędrców i w istocie przekonał się że wielu z nich było tegoż samego co on zdania. Jedni z nich przypuszczali tylko bieg ziemi około jéj osi, inni mieścili ją w liczbie planet. Zdaje się nawet, że była to ogólna opinija sekty Jonickiéj, utworzonéj przez Talesa, który prawdopodobnie nabył jéj w Egipcie, gdzie podróżował około roku 600 przed erą naszą. Nie mogąc w tém miejscu cytować wszystkich opinij starożytnych, zgodnych z prawami wykrytemi przez Kopernika, poprzestaniemy na przywiedzeniu ustępu Seneki, odnoszącego się do zajmującego nas przedmiotu; „Znaleźli się filozofowie którzy do nas mówią: Mylicie się, mniemając, że są gwiazdy które cofają się i zatrzymują; nieforemność taka nie może mieć miejsca w ciałach niebieskich, biegną one w tę stronę w którą zostały rzucone, nie zatrzymując nigdy swego biegu i nie zmieniając jego kierunku. Dla czegóż więc zdają się niekiedy wracać napowrót? Powodem tego jest Słońce. Ich orbity są umieszczone w ten sposób, że nas często zwodzą, podobnie jak nam się zdaje nieraz że okręt stoi w miejscu, chociaż wiemy że płynie całą



ZIMA. (Str. 59.)



Sukiennice w Krakowie, z widokiem na wieżę Ratuszową. (Patrz opis Sukiennic w Nr. 50 Opiekuna Domowego z r. z.)

siłą napiętych żagli." — Mnóstwo jednakże było filozofów utrzymujących: że ziemia spoczywa na miejscu, a w koło niéj krążą wszystkie ciała niebieskie. Znajdujemy na ich czele sławnego Platona. Za jego zdaniem poszli: Eudoxius, Calippus, Aristoteles, Archimedes, Hippark, Sosigenes, Pliniusz i Ptolomeusz.

Wykrycie prawdy, pomimo zdań przeciwnych tylu sławnych mężów, których pojęcia przez wieki trwający przeciąg czasu służyły za podstawę wiedzy, do których w razach wątpliwych jak do nieomylnéj wyroczni odwoływali się wszyscy pragnący zająć jakiekolwiek miejsce w naukowym świecie, było prawdziwém dziełem geniuszu. Sprawiedliwie też pomimo zdumiewającego postępu matematyki i astronomii, zapełniającego przeciąg czasu od Kopernika do chwili obecnéj, sława jego stoi niewzruszoną, jak system słoneczny który poznał i światu objawił.

Trwalszém od pomników z kamienia i brązu, wzniesionych dla Kopernika, jest uznanie zasług tego znakomitego męża. — Zbliża się czterechsetna rocznica jego urodzin a już zewsząd dochodzą nas głosy pragnących uczcić świetną jubileuszową uroczystością jego wspomnienie.

K. Milkuszyc.

FRANCISZEK SALEZY DMOCHOWSKI.

Życie—to walka, to bój nieustanny. Skoro tylko w dziecięciu pojęcie i rozum rozwijać się zaczyna, już czeka go walka z trudnościami nauki czytania, któréj ważności i korzyści nie pojmując, biedzić się z nią musi, nim pracą zastosowaną do sił młodocianego umysłu, zdoła nareszcie z pociechą rodziców i nauczycieli pokonać te trudności, aby niezwłocznie ujrzeć przed sobą nowe, w postaci rozlicznych nauk stanowiących uzbrojenie młodzieńca na dalsze zapasy z życiem, w których ma już sobie jako mąż wywalczyć niepodległe i zaszczytne stanowisko w świecie. Piękną i zaszczytną jest taka walka. Ze czcią głęboką patrzymy na człowieka, który w obranym zawodzie pracując ręką i głową, zapewnił sobie i rodzinie byt niezależny. Rolnictwo, rzemiosła, handel, przemysł, nauki, sztuki piękne, słowem—wszystkie rodzaje zajęć jakim się ludzie oddają, stawiają nam przed oczy wielu takich pracowników, których imiona głośnemi się stały.

Na zachodzie Europy, w krajach które nas w rozwoju ogólnéj oświaty i przemysłu poprzedziły, nawet i piśmiennictwo uległo temu ogólnemu prawidłu: stało się przemysłowém zajęciem. Autor z niezwykłą bystrością śledząc za upodobaniem mass, stara się zdobyć sobie jak największą liczbę czytelników, czyli, co na jedno wychodzi, za pomocą rozgłosu swego imienia, o jak największe materjalne zyski. Rzeczywiście, znakomite talenta umiejące zadowolnić wymagania i chęci czytającéj publiczności i dogodzić jéj smakowi, dobre robią interesa i kolosalne zbierają majątki.

Inaczéj zupełnie u nas zawód piśmienniczy się przedstawia. Młody autor ani zamarzy o wielkich dostatkach, któreby kiedyś za pomocą swych utworów mógł osiągnąć. Jeśli mu w młodości snują się marzenia o poklasku współczesnych i sławie u potomnych, to poczytuje on to sobie za nagrodę, za szczerą i sumienną swą pracę dla dobra i pożytku współbraci. Szczęśliwy, jeśli uznanie współczesnych zapewni mu skromny kawałek chleba, aby mógł daléj pracować dla dobra bliźnich. Wyznaję, że ten ogólny nastrój pisarzy naszych, nierównie wyżéj w przekonaniu mojém ich stawia, niż świetne położenie rozgłośnych w świecie imion, których znaczenie mierzy się majątkiem jaki na pismach swoich zarobić potrafili. Nic nie ma wielkiego w świecie bez ducha ofiary i poświęcenia. Duch ten opromienia wszystkie usiłowania w imię zacnéj i pożytecznéj pracy podjęte i takich pracowników posiadamy bardzo wielu. Do takich też należy, jeden z najstarszych dziś żyjących literatów, Franciszek Salezy Dmochowski.

Niewielu pamięta te czasy umysłowego odrętwienia, kiedy piśmiennictwo nasze rozpoczynało swą walkę z obojętnością publiczności. Walka to była mozolna i trudna. Niesłychanéj cierpliwości i poświęcenia trzeba było aby się odważyć na ciernisty zawód pisarza, w którym jedynie tylko myśl o pożytku ogółu przewodniczyła pracy, bez żadnéj nadziei nawet materyalnych korzyści. Zawód autorski nie był jeszcze powołaniem i stałém zajęciem. Każdy kto czuł w sobie jakąkolwiek zdolność do pióra, pisał w chwilach wolnych od innych obowiązkowych zajęć, ale o wynagrodzeniu za prace swoje ani myślał. Pracowity badacz dziejów, Joachim Lelewel, rękopisma swoje darmo oddawał księgarzom. Tomasz Święcki, za dzieło swoje: *Opis starożytnéj Polski*, które go kilkanaście lat pracy kosztowało, otrzymał od księgarza, jako wynagrodzenie, sto egzemplarzy bezpłatnie.

Franciszek Salezy Dmochowski, urodzony w Warszawie w 1801 r. z ojca Franciszka Ksawerego, znakomitego w owym czasie literata, i Izabelli z Mikorskich. Miał zaledwie lat siedm gdy go ojciec odumarł. W dzieciństwie jeszcze okazywał ogromną pamięć, mianowicie co do spamiętania wierszy lub długich okresów prozy, odznaczających się szczytną myślą i piękném wysłowieniem. Początkowe nauki pobierał w szkołach pijarskich, następnie w byłym uniwersytecie warszawskim. Zawód swój literacki rozpoczął około roku 1819, od tłumaczeń tragedyj i komedyj francuzkich, mianowicie: *Arnault'a, Mariusz w Minturnie*; *Racin'a, Andromaka*; *Molière'a, Urojona niewierność* i *Natręty*. Gładkość wiersza i czystość języka cechują równie te pierwsze, jak i wszystkie następne prace Dmochowskiego.

Od roku 1820 zapragnął spróbować sił swoich na dziennikarskiém polu; objął więc wspólnie z Dominikiem Lisickim redakcyą *Tygodnika polskiego.* W następnym 1821 roku, wydawał *Wandę, tygodnik dla płci pięknéj*, do którego znakomity komik, artysta dramatyczny a przytém humorysta, mający przywiléj rozśmieszać i bawić całą Warszawę, Aloizy Żołkowski, dołączał swojego *Momusa*. Lecz czując potrzebę poważniejszego pisma, gdy wydawany przez Feliksa Bentkowskiego *Pamiętnik Warszawski* przestał wychodzić, począł na jego miejscu wydawać *Bibljotekę Polską*, pamiętnik literacki, historyczny i naukowy w latach 1825 i 1826.

Trudne było powołanie redaktora. Współpracowników stałych jakich dzisiejsze dziennikarstwo posiada, nie było wcale. O wynagrodzeniu za nadsyłane prace ani mowy być nie mogło; na redaktorze więc ciążył obowiązek zastępowania wszystkiego własną pracą, a z prenumeratą gorzéj było jeszcze. Pismo liczące trzechset prenumeratorów, już było rzadkością. Księgarze, Zawadzki i Węcki płacili wprawdzie Bentkowskiemu za redakcyą Pamiętnika po sto dukatów rocznie, ale też za to obowiązany był wszystkie artykuły własne i cudze bezpłatnie dostarczać. Pomimo tak nizkiéj opłaty, zysk z prenumeraty nie pokrywał kosztów nakładu i nakładcy zmuszeni byli dalszego wydawnictwa zaniechać.

Potem zaczął wydawać Gazetę, *Korrespondenta* (1826 — 1829 roku). W tém piśmie, w dziale *Rozmaitości*, pomieszczony był jeden z pierwszych utworów poetycznych Zygmunta Krasińskiego. W roku 1835 rozpoczął wydawnictwo pisma illustrowanego *Muzeum Domowe.* Sztuka drzeworytnicza jeszcze u nas wtedy nie istniała, ryciny więc, (klisze) sprowadzał z zagranicy. Doborem artykułów starał się zaspokoić potrzeby coraz wzrastającego kółka czytelników, łącząc przyjemność z pożytkiem.

Posiadanie własnéj drukarni niemało mu ułatwiało wydawnictwo. Oprócz więc pism czasowych zajmował się wydawaniem powieści, a mianowicie przekładów arcydzieł owoczesnéj literatury Europejskiéj.

Któż z nas nie zna historycznych powieści Walter Scott'a, któż w młodości nie zachwycał się tymi utworami, z taką siłą i prawdą malującymi przeszłe wieki, że czytanie ich jako najmilsza rozrywka, stawało się dopełnieniem poważnéj nauki historji, a działające w nich historyczne postacie, niezatartymi rysami malowały się w młodocianym umyśle?

Znajomość angielskiego języka, mało upowszechniona, czyniła oryginał dla większéj liczby czytelników niedostępnym. Dmochowskiemu należy się zasługa, że tłumaczeniem swojem dał nam możność poznania arcydzieł Szkockiego pisarza. Jak dalece wydawnictwo to było na dobie, przekonywa ta okoliczność, że z wydania zawierającego 1500 egzemplarzy, w przeciągu lat trzech, rozkupiono 1300.

Zajmował się również przekładaniem powieści francuzkich autorów, jako to Ducange'a, Balzac'a, Pawła Kock'a i innych. Lubo zdaniem naszém przekłady te mniéj mają znaczenia, raz dla tego, że język francuzki bardziéj rozpowszechniony czynił oryginały więcéj dostępnymi dla ogółu, powtóre, że w przekładach pierwszeństwo zawsze dawać należy arcydziełom, a w powodzi francuzkich romansów i powieści tak różnych talentem, formą i dążnością—o arcydzieła trudno, zawsze jednak wydawnictwo to miało dobrą swoję stronę. Byli wprawdzie tacy i to w znacznéj liczbie, mianowicie kobiety, tak zwanego wyższego towarzystwa, którzy żadnéj powieści w polskim języku drukowanéj do rąk nie wzięli i nie domyślali się nawet że one istnieją, ale wielu było takich, co nie znając obcych języków, garnęli się jednak do czytania. Dla nich przekłady Dmochowskiego pożądaną były rozrywką. Oddać mu też należy sprawiedliwość, że w przekładach swoich pilnie dbał o przyzwoitość wyrażeń i staran-

nie z nich usuwał to wszystko, na co czysta a poczciwa mowa nasza utartych dwuznaczników nie posiada, co we francuzkim oryginale przechodzi jakoś gładko i uczucia przyzwoitości niezbyt drażliwego nie obraża. Prócz tego, przekłady te rozbudziły zamiłowanie do czytania i usposobiły umysły do przyjęcia dzieł późniejszych powieściopisarzy naszych, jako to Kraszewskiego, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego i tylu innych, gdyż dzieła ich znalazły już dla siebie przygotowaną drogę dla umysłów nawykłych do czytania utworów tego rodzaju literatury, przez powieści tłumaczone z obcych autorów. Inaczéj wygląda utwór autora w oryginale, inaczéj zaś w obcéj szacie. I swojskie powieści, mianowicie te które wyszły z pod pióra wyżéj wzmiankowanych autorów, więcéj nas zajmą i pouczą, niż przepolszczony utwór, choćby najbardziéj utalentowanego cudzoziemskiego pisarza.

Zasługi Dmochowskiego dla literatury jako redaktora, nakładcy, tłumacza, wydawcy, zwiększyły się jeszcze tém, że najprzód w Radomiu, a potém w Warszawie założył księgarnię, która istniała od 1832 do 1842 roku. Pierwéj jeszcze, bo w roku 1830, powziął myśl szerszéj rozprzedaży swych książek, rozwożąc je po wsiach i miasteczkach, i w tym celu wyjednał sobie pozwolenie od Kommisji Rządowéj Przychodów i Skarbu. W tymże więc roku wysłał komisanta w Radomskie i Krakowskie. Odbyt był niemały, lecz koszt najmu koni i ludzi pochłonął cały zysk z tego przedsięwzięcia. Następne krajowe wypadki nie dozwoliły mu rozwinąć na szerszą skalę tego pomysłu. Zawsze jednak pozostanie on wskazówką na przyszłość.

Kto wie, czyby dzisiaj, taki handel książkami przeznaczonemi przeważnie dla ludu wiejskiego, nie był na swojém miejscu, i czyby oprócz niezaprzeczonego pożytku dla czytających, nie przyniósł też korzyści księgarzowi. Gdyby obok przeróżnych towarów zapełniających jarmarki i targi naszych miasteczek, zwłaszcza w jesieni, gdy już ciężki przednowek minie i jak proste przysłowie niesie, że „i wróbel wtedy bogaty,“ gdyby zjawił się taki wózek z książkami, nie jednegoby pokusa wzięła wydać kilka złotych, aby też dzieci co już do szkółki chodzą i czytać umieją, miały co w czasie długich wieczorów i dla siebie i dla rodziców przeczytać. Linie kolei żelaznych dziś ułatwiły pp. księgarzom przesyłkę takich książek na pewne punkta, zkądby je uzdolnieni do podobnego handlu komisanci, już na własne ryzyko po jarmarkach rozwozić mogli, a zwykły rabat księgarski pokryłby koszt transportu i im samym przyzwoity zysk by zapewnił. Początek wprawdzie trudny, głównie brak odpowiednich kapitałów stanąć może na zawadzie; lecz zdaje się że tę przeszkodę z łatwością usunąćby można, za pomocą kredytu, któregoby pp. księgarze w widokach własnego zysku, dla takich przedsiębiorców, nie odmówili, za poręczeniem znajomych sobie, moralnie i majątkowo odpowiedzialnych osób.

Niemniejsze są zasługi Dmochowskiego jako wydawcy dzieł klassycznéj literatury. Takiemi są przekłady, ojca jego Franciszka Ksawerego, arcydzieł starożytnych pisarzy, jako to: Iliady i Odyssei Homera, Eneidy Wirgiljusza. Jakkolwiek w późniejszych czasach znaleźli się krytycy odmawiający wszelkiéj zasługi wspomnionym przekładom, pod wpływem nowych pojęć, które tak zwana szkoła romantyczna w literaturze zrodziła, nadeszła jednak dziś pora, kiedy przy większém zastanowieniu się, ochłonąwszy z bezwarunkowego zapału dla romantyzmu, który płaszczem swym okrywa tyle niezrozumiałych dziwactw, oddajemy zasłużoną sprawiedliwość temu co jest prawdziwie piękne i wzniosłe. Możemy podziwiać śmiałe ostrołuki gotyckich sklepień, w zdumieniu przypatrywać się kamiennemu haftowi ich ozdób, lecz widok kolumnady w stylu czysto greckim zachwyci nas harmonją rozlaną we wszystkich, choćby najdrobniejszych szczegółach. Jest ona taką jaką jest, i inną być nie może, a każdy w niéj szczegół, ulegając pewnemu niezmiennemu prawidłu, stanowi harmonijną część ogólnéj całości. Podobnież rzecz się ma z arcydziełami starożytnéj literatury. Zarzucają Fr. Ks. Dmochowskiemu, że nie znając greckiego języka, Iliadę i Odysseję tłumaczył z przekładu łacińskiego. Podług nas, nic w tém tak zdrożnego nie ma. Nie chodziło mu wcale o to, aby w przekładzie stworzyć arcydzieło równe oryginałowi, ale tylko aby utwór, którym ludzkość przez dwadzieścia wieków się zachwyca, dać poznać czytającemu polskiemu ogółowi. Podobnież, przekład Miltona *Raju utraconego*, *Nocy Junga*, *Sztuki rymotwórczéj* Boileau, zawdzięczamy Dmochowskiemu (ojcu). Wszystkie pisma jego odznaczają się wytworną czystością języka, zaleta bardzo ważna, która Bogiem a prawdą, pomiędzy namiętnymi zwolennikami romantyzmu dzisiaj coraz rzadziéj się napotyka. Dmochowski (ojciec) zajmował poważne stanowisko pomiędzy pisarzami Stanisławowskiéj epoki, a za czasów tak zwanych pruskich redagował Pamiętnik Warszawski, jedyny organ którym w owe czasy piśmiennictwo nasze jakikolwiek objaw życia dawało.

Była jednak dwukrotna przerwa w literackim zawodzie Dmochowskiego. W roku 1821 opuścił był Warszawę i osiadł w dziedzicznéj swéj wiosce. Lecz trudne okoliczności, spowodowane ciężarami jakie kraj ponosić musiał w czasach wojen, od 1807 do 1815 roku, zmusiły go do sprzedania swéj majętności. Wrócił więc do Warszawy i tu się wyłącznie poświęcił pracom literackim, któreśmy wyżéj wymienili. Jednakże po szesnastu latach literackiego zawodu sprzedał najprzód swoję drukarnię, a w parę lat potém i księgarnię, i znowu osiadł na wsi, w Płockiém. W gospodarstwie wiejskiém, zarówno jak w literaturze, rozwinął znakomitą energją i w przeciągu lat czternastu rolniczego swego zawodu, znacznie podniósł gospodarstwo.

Lecz trudno rozstać się z nawyknieniami młodości. Podobnież i z Dmochowskim się stało. W początkach 1850 roku, wrócił do Warszawy i znowu oddał się pracom literackim.

Dziennikarskie pole nie było mu obcém, owszem, na niém właśnie w początkach swego zawodu chlubnie się odznaczył. I teraz więc wystąpił jako współpracownik *Gazety Codziennéj*. Wkrótce sam nabył na własność *Kronikę wiadomości krajowych i zagranicznych*, lecz niedługo zmuszony był ją odsprzedać, ze znaczną dla siebie stratą. Ale ta strata nie osłabiła bynajmniéj jego wytrwałości w pracy. W ciągu lat dziesięciu, wydał przeszło pięćdziesiąt tomów tak oryginalnych dzieł jak i przekładów. We własnych jego utworach przeważają pisma dla ludu przeznaczone. W szeregu innych prac jego, do bardzo zajmujących należą, *Moje wspomnienia* od roku 1806 do 1830. W nich znajdziemy obraz całéj działalności autora, w ciągu długiego jego literackiego zawodu i trafny pogląd na dzieła celniejszych pisarzy z téj epoki.

W roku 1863 mianowany został nauczycielem języka polskiego w III gimnazjum warszawskim. Jako podręczną książkę przy wykładzie, wydał dziełko pod tytułem: *Nauka prozy, poezji i Zarys piśmiennictwa polskiego*. Przygotował też do niéj trzy tomy *Wzorów*, z celniejszych autorów zebranych.

Dmochowski nie należał do żadnéj koterji literackiéj. Wolny od wszelkich osobistych celów, pracował jedynie dla dobra powszechnego. Nadzwyczajna pamięć, trafny rzut oka na czasy w których żył i ludzi z którymi był w stosunkach, czynią go w towarzystwach wszelkich barw i odcieni nadzwyczaj pożądanym. Podeszły wiek nie osłabił w nim ani pamięci, ani dowcipu—i dzisiaj w uznaniu jakiém się u ogółu cieszy, zbiera owoce długoletniéj swéj cichéj, mozolnéj a uczciwéj i pożytecznéj pracy.

Stanisław Rewieński.

ŻÓŁTY WUJASZEK.

OPOWIADANIE,

przez

Władysława Łozińskiego.

(*Dalszy ciąg*).

Jeździłem do kreiskapitana do Przemyśla, prosiłem o wiadomość, o pomoc. Kusy Niemiec wysłuchał, zadziwił się, naklął od *schwere Noth* i trzydziestu czterech *sappermentów*, rozesłał landsdragonów, obiecał zrobić *bericht* do gubernium i czekać kazał....

Warjacja—istna warjacja czepiała się człowieka. Zdesperowałem z kretesem, bo dwa miesiące już minęły, a tu ani śladu. Kamień w wodę i kwita. Rzecze tedy raz do mnie ksiądz Ignacy.

— Takie ślepe miotanie się, na nic się nie przyda. Trzeba się uspokoić i rozumnie wziąć do dzieła. W całym tym dziwnym i niepojętym wypadku, zawierać się musi jakaś tajemnica, jakaś szkaradna intryga ludzka, któréj dziś daremnieby rozumem dochodzić, ale którą Bóg najłaskawszy rozjaśni niezadługo. Jedź, panie Józefie do Lwowa, do stolicy, tam się przecież schodzą mniéj więcéj nici całego kraju, tam łatwiéj o człowieka i wiadomość. We Lwowie właśnie teraz zaczynają się kontrakty — zjadą się ludzie ze wszystkich stron. Szukaj wytrwale, dochodź usilnie, nie trać rozwagi i nadziei, i ufaj Bogu, a mam przeczucie, że wszystko dobrze się skończy.

Usłuchałem rady księdza Ignacego i wybrałem się natychmiast

do Lwowa, mimo że mi zdrowie ciągle jeszcze nie dopisywało. Spakowałem się na długi czas, zabrałem z sobą wszystko, nawet moje malowidła i przybory malarskie, bo powziąłem zamiar, wrócić do Basztokola albo z Helenką, albo już wcale nie wracać, lecz utonąć gdzieś w szerokiem świecie.

Stanąłem we Lwowie w gospodzie i zabrałem się zaraz do moich poszukiwań, choć mi je trudno było według rady księdza Ignacego prowadzić spokojnie i rozważnie, bo w sercu i głowie się paliło. Kontrakty jeszcze się nie były zaczęły, czekałem więc jeszcze na nie, choć już nadzieję straciłem i rozpacz mnie ogarnęła.

Tak minęło znowu trzy tygodnie, śród daremnych usiłowań. Rozpisywałem listy, łapałem brację szlachtę z najrozmaitszych okolic po ulicach, przebywałem całemi dniami w kontraktowéj sali u pana Hechta—ani śladu.—Nawet u dyrektora policyi pana Streichera byłem, ale i ten nie umiał dać rady.

Tymczasem zwaliło się do Lwowa szlachty na kontrakty co niemiara. Pokój gospodyni, w którym mieszkałem, był zamówiony przez jakiegoś moszterdzieja z góry. Gdy przyjechał — musiałem ustąpić. A pomieszkania wszystkie tak były zajęte, że podziać się gdzie nie było.

Nowy ztąd dla mnie kłopot, gdzie się ulokować. Byłbym się znalazł poprostu może na ulicy, pod gołém niebem, bo w mojém strapieniu radzić sobie nie umiałem, gdy raz, jakby przez Boga zesłany, spotkał mnie aplikant Dyzma na ulicy. Wiedział on już o niesłychanéj przygodzie i nawet mi poczciwina pomagał co mógł. Lustrowaliśmy z nim wszystkie żeńskie klasztory.

Skarżę mu się, że na domiar frasunku mieszkać gdzie nie mam.

On mi na to:

— Pomieszkania tak łatwo teraz nie znajdziesz, bo zjazd niesłychany. Ale miałbym sposób, tylko się trochę obawiam.

— At, nie obawiaj się Maziu, ale radź co możesz, bo chyba czarapy na odwachu dadzą mi kwaterę.

— Jest tu na przedmieściu żółkiewskiém stary dom, albo raczéj pałac, który należy do klienta mego pana mecenasa. Właściciela nie ma, dom stoi pustką i jest pod administracyą p. Szalborskiego. Jest tam jeden pokój, który się dawniéj wynajmował, ale teraz nie ma lokatora. Mam klucz do tego pokoju i możesz się tam sprowadzić. Ale to wszystko stać się musi chyba w sekrecie, bo pan mecenas mówił wyraźnie, że już tego pokoju nie można daléj odnajmować.

Już niedługo miałem zabawić we Lwowie, a i tak miałem wyjechać na kilka dni na kordon, aby się pod Brodami dowiedzieć, ażali gdzie nie ma jakiego śladu, bo mi przychodziło na myśl, że Helenka gdzie za kordon wywieziona. Przyjąłem tedy propozycyą poczciwego Dyzmy i zaraz pod wieczór przeniosłem moje rzeczy do pustego domu i do oznaczonego mi pokoju.

Chociaż zajęty byłem mojemi myślami i moim frasunkiem, przecież nie mogłem nie zwrócić uwagi na to domostwo.

Był to gmach stary, niby pałacowym stylem zbudowany, ale ciężki i niekształtny. Stary był bardzo, a że nikt go nie restaurował, więc wyglądał już jakby rudera. Stał w oddaleniu od innych domów i od ulicy, od któréj przedzielał go mur na pół rozwalony. Po obu bokach frontu rosły dwie stare, wysokie topole — a nagie całkiem, bo to było już pod zimę, więc sterczały o zmroku wieczora, jak dwa olbrzymie czarne słupy.

Dom ten był jednopiętrowy i miał żelazny, duży balkon, oparty na dwóch słupach, a dźwigany przez dwie karyatydy, wystawiające ludzkie potwory z szkaradném obliczem, wykrzywioném szatanicznym, szyderczym uśmiechem. Obok tych dwóch głównych karyatyd, służyło temu dziwacznemu domostwu za ozdobę mnóstwo maszkar i larw przebrzydłych, a wszystkie patrzały na ciebie oczyma zmory i jak wiedźmy śmiały się ku tobie....

Przyznam się, że dom ten stary niebardzo miłe sprawił na mnie wrażenie. Coś w nim było strasznego i tajemniczego. Zdawało się, jakoby nie ludziom ale upiorom służył za mieszkanie..... Ale ja nie miałem czasu o tém myśleć.

— No i cóż, będziesz tu mieszkał? — zapytał Dyzma.

— Oczywiście, i mocno ci dziękuje za usługę przyjacielską...

— Podziwiam twój rezon, Józiu...

— A to z jakiéj przyczyny? — zapytałem.

— Bo jabym nie miał animuszu, przespać choćby noc jedną sam w tym szkaradnym domu... Powiem ci nawet, że sąsiedzi mówią i zaklinają się, że tam coś straszy po nocach.

— Furda Maziu! — zawołałem — mam szablę święconą i parę kul w pistoletach! Przyjdą djabli, ja do szabli.

Zbywszy tak obawy Dyzmy, wziąłem klucz od mego nowego pomieszkania, bo z przyczyny méj podróży po nad kordon, nie miałem w niém zaraz zostać, i wróciwszy do miasta—wyjechałem. Ale i ta wycieczka pozostała bez najmniejszego skutku. Zjechałem spory kawał ziemi wypytując i śledząc wszędy. Straciłem znowu kilka dni i wróciłem do Lwowa—z niczem.

Wysłałem konie do zajazdu, a sam pieszo udałem się do mojéj stancyi. Do pokoju mego szło się przez długi, ciemny korytarz, tak, że ledwie domacać się mogłem drzwi. Domacawszy się w końcu, otwarłem i znalazłem się u siebie...

(d. c. n.)

FRASZKA



Archeologija. (Żabytek po Salomonie).

Wydawca, Mieczyński Adam. — Дозволено Цензурою, 8 (20) Февраля 1871 г. — Redaktor, Stanisławski Oskar.

w Drukarni S. Orgelbranda, Ulica Bednarska Nr. 369 lit. b.